

Jerzy Ohnet.

# Śmierć Bonapartemu!

15)

Byłoby to możliwe, by kosztem jego wydania ulżyła własnemu sumieniu i odsunęła od siebie wszelkie niebezpieczeństwo? Za nic w świecie, nawet za cenę własnego życia. Nic jej tedy nie pozostało, jak dokonać podjętego dzieła, uwolnić Saint-Régeant'a od strasznego niebezpieczeństwa. Poza tem: płakać, modlić się, pokutę czynić za błędy już popełnione, i za te, które w przyszłości popełni. O drugiej po północy ocknęła się z bolesnego zamyslenia. Nad uśpionem miastem zaległa cisza. Pusto było na ulicy, lecz policja czuwała niezawodnie i korzystała z cieniów nocy dla podjęcia dalszych poszukiwań.

Lerebourg wstał codziennym zwyczajem o szóstej i udał się przedewszystkiem na strych, gdzie leżał Saint-Régeant. Żonę zastał zajętą zmianą opatrunku. Młodzieniec czuł się bez porównania lepiej i nie wątpił, że na przesiedlenie sił mu starczy. Przepraszał Lerebourg'a za to, że go narażał na niebezpieczeństwa.

— Wzrosłyby one, gdybyś pan u mnie dłużej pozostał — odrzekł kupiec z prostodusznością, która miała znośne pozory odwagi. — Lecz żądam od was, Leclerc, słowa honoru, że skoro bez szwanku wyjdziecie z tego zajścia, nigdy już więcej nie przyłożycie ręki do podobnego dzieła.

— Przysięgam i przysięgam — zgodził się i smutno się przytem uśmiechał. — Kto miał nie szczęście przelać tyle krwi na próżno, temu nic nie pozostaje, jak umrzeć, lub zejść ludziom z oczu. Opatrzność kieruje losem mym, jak zechce. Lecz wstręt czuję do samego siebie i niczego tak nie pragnę, jak zadość uczynić za zło wyrządzone. Dwojaka ku temu droga: śmierć lub modlitwy.

— Nie poddawajcie się przygnębieniu. Człowiek, jak wy, młody, nie usuwa się od świata w klasztorne zacisze, na samotne rozmyślenia i skruczę. Można w inny sposób poświęcić się dla dobra ogółu, przez akt wielkiego poświęcenia. Tem samem usprawiedliwia się siebie we własnych oczach. Najbliższemu jednak zadaniem jest, wykręcić się cało. To nasz obowiązek.

— Zwłaszcza wobec was, kochany Lerebourg. Byłbym w rozpacz, gdybym i was naraził... Życzliwość i dobroć, których od was doznałem, spełniają serce me wdzięcznością...

— Dajcie pokój. Później będzie czas na to, jeżeli się jeszcze w życiu spotkamy. Zostańcie tu z żoną, ja spieszę poczynić przygotowania do waszego wyjazdu.

I zostawił Emilię przy młodym człowieku z całym naiwnym zaufaniem. Z twarzy jej wysmutniała, zoranej troską i bezsennością, mógł Saint-Régeant wyczytać obawę, jaką się torturowała. Cierpiał nad tem niewymownie, lecz nie śmiał ni wyrazić żalu, ni błagać o przebaczenie, gdyż męczarnie młodej kobiety były okupem ich wspólnego, grzesznego szczęścia. Z jej pomocą wstał i ubrał się. Sami byli tuż obok siebie. Nie wymienili ni jednego pocałunku. Siła jakaś niewidzialna jakoby oddzieliła ich na zawsze od siebie, by nigdy już nie zdołali powiedzieć sobie, że się kochają, ni szukać zaspokojenia tej miłości. Z pewnym smutkiem obrócił oczy na Emilię.

— Czyż nie byłoby stokroć lepiej, bym poległ wraz z ofiarami mego czynu. Pomyśl tylko, jakie będzie teraz moje życie, skoro nawet ty oddalas się odemnie z nieświadomym wstrętem. Słuchaj, dostarcz mi jakiegokolwiek broni, wyjdę na ulicę, oddalę się o jakieś sto kroków i aby ciebie tu nie narażać, tam odbiorę sobie życie.

— Biedaku! Jak możesz być tak okrutny i do mnie zwracać się z takim żądaniem! — boleśnie jęknęła Emilia. — Jedyną mą troską jest twoje ocalenie. A ty zwątpiłeś o wszystkim... Dozwól mi ochłonąć, przyjdź do siebie po tak gwałtownem przejściu. Wiesz dobrze, niestety, że twoją jestem, cokolwiek się zdarzy, i sądzę, że obecnie jest moim obowiązkiem dzielić twój los, twoje koleje. Lękam się jedynie o mego męża, tego uczciwego, tak szlachetnego człowieka, który na nic złego nie zasłużył...

— Tak, słusznie mówisz. Obronić go, zabezpieczyć, należy za wszelką cenę. Nie ma nic, na co byśmy się nie powinni narażać dla jego spokoju.

Podążyła mu ręką, nieco już uspokojoną:

— Dobrze już, dobrze. Takim chcę cię widzieć. Czas na ciebie. Pożegnajmy się, bo może nie ujrzymy się więcej.

Uściskali się po raz ostatni gorąco, dziko niemal, jak gdyby rzeczywiście pocałunek ten miał być ostatnim. Późem Emilia poszła pierwsza, wskazując ukochanemu drogę na pierwsze piętro. Zwróciła się do niego:

— Poczekaj tu chwilę. Zobaczę, co mąż zrobił.

Zeszła lekko na ciemny jeszcze parter. Po chwili ukazała się w połowie schodów i nie mówiąc słowa, dała mu znak, że ma zejść. Na podwórku czekał wózek towarowy, wyładowany sztukami materii. Saint-Régeant przedostał się z trudem przez pakunki. Ostatnie spojrzenie Emilii, ostatni uścisk Lerebourg'a i na pudło powozu opadła ceratowa przykrywa. Kupiec wszedł na kozioł i ruszył stępą przez ulicę Saint-Honoré. Ruch uliczny już się budził: ulicę mijali handlowcy, idący do sklepów, do warsztatów robotnicy. Kupcy podnosili żaluzje u wejścia i wystaw. Straganiarka, układająca właśnie piramidy kapusty, marchwi i rzepy, zawołała:

— Obywatel Lerebourg już w drodze? Ranny ptaszek. I dobrze tak, bo kto rano wstaje, temu pan Bóg daje.

— Spieszę na pocztę przesyłkową, sąsiadko. Tam nie czekają, aż mi się przyjdzie spodoba.

— Cóż to! — Żandarmi jeszcze przeszukują?

Patrol żandarmeryi posuwał się ku ulicy Saint-Roch. Lerebourg jechał krok za krokiem w stronę Palais Royal. Co chwila przemówił do niego ktoś ze znajomych. Doleciało go, co tapicer Sinoal mówił do oficera żandarmów:

— To obywatel Lerebourg, ten z pod błękitnego kołpaka, No, gdyby ten był podejrzany, należałoby uwięzić całą naszą ulicę. Toż to śmietanka ludzi lojalnych, pokojowych.

Temu zaświadczeniu zawdzięczał niechybnie Lerebourg, że minęła go rewizja wózka. Mijał wolno szeregi żandarmów, a pot śmiertelny oblewał mu czoło. Dopiero za ulicą, gdy się wydostał na wybrzeże, odetchnął swobodnie. Wówczas zaciął konia i po kilku minutach był już na zakręcie na ulicę du Dragon. Tam się zatrzymał. Z kozła dostał się do zamkniętego pudła wozu i rzekł z cicha:

— Leclerc, jesteście już na miejscu. Czy czujecie się na siłach, by zejść?

— Przypuszczam. Trzeba się upewnić, że nikt nas nie śledzi.

Lerebourg wyszedł na ulicę. Nie dojrzał nic podejrzanego.

— Chwila sprzyja, idźcie, póki można.

Odsunął skórzaną zasłonę pudła, a Saint-Régeant wyslizgnął się ostrożnie i stanął na ziemi. Zwrócił się do Lerebourg'a, a głos drżał mu ze wzruszenia.

— Żegnajcie! Wam życie zawdzięczam, zacny człowieku, co narażaliście dla mnie własne bezpieczeństwo. Odejdźcie, nie zostajcie tu ani chwili.

Oddał się już, a Lerebourg nie mógł jeszcze przyjdź do siebie po tem rozstaniu, pozbyć się obawy na myśl, jak wyprawa skończyć się mogła, przyczem nie mógł opędzić się wyrzutem, iż za mało zrobił dla tego, kogo kochał bez mała, jak syna. Uspokoił się, widząc, jak rażno kroczy Saint-Régeant. Szedł jeszcze za nim wzrokiem, póki mu nie zniknął w bramie z liczbą 35; wtedy westchnął głęboko, wsiadł na wózek, popędził konia i przez bulwary, przez Pola Elizejskie wrócił do siebie.

## XIII.

Młody Villiers z pośpiechem i wzorową dokładnością wywiązał się z polecenia, danego mu przez Fouché. Wziął przejeżdżającą dorożkę, kazał zawieźć się do szpitala, mimo, iż droga wiodła przez straszne na owe czasy przedmieście Hanbert, gdzie życia nie było się pewnym. Udało mu się bez przeszkód dotrzeć do bramy starego szpitala z czasów Ludwika XIII, położonego za ogrodem Botanicznym i składami win; w imieniu ministra policji rozkazał zbudzić dyrektora. Ten dowiedział się teraz dopiero o zabójstwie i kazał natychmiast wezwać dyżurnego lekarza. Poprowadzono obywatela Villiers przez korytarze, ciągnące się bez końca, aż do łóża bladego, raczej przypominającego nieboszczyka Bracconneau.

— Jakżeż ten biedak strasznie wygląda — zauważył sekretarz ministra.

— Cudem tylko trzyma się od trzech dni. Kulą przeszła go na wskrós. Widocznie kulą uraziła kręgosłup — rzekł bowiem śladu myśli. — Jest przebiegłe wszystko.

— O, źle! Szef przywiązywał wielką wagę do informacji, których człowiek ten miał udzielić!

— Dziś rano był u chorego doktor Dupuytren... Zajął się nim, jako rzadkim, a skomplikowanym wypadkiem... Jutro będzie tu znowu. Zawiadomę go o życzeniu obywatela Fouché. Zawyrokuje, czy da się uskutecznić!...

— Sądźcie tedy, że możliwe jest zastosowanie środków, któreby przywróciły istotne życie choćby na chwil kilka, temu bezwładnemu ciału?

— Doktor Dupuytren posiada niebawemą wprawę. Wytłumaczmy mu, o co chodzi...

— Dobrze będzie zawezwać go możliwie wcześnie. Chodzi tu o sprawę stanu, która nie powinna ponieść szwanku.

— Należy jednak liczyć się i z prawami natury. Wobec walki z śmiercią ustaje wszelka władza ludzka.

— Bądź, co bądź, liczę na waszą troskliwość, obywatelu. Uwiadomę obywatela ministra o obecnym stanie rzeczy, który zwróci się do was jutro osobiście.

Villiers opuścił szpital. Wszelkie okoliczności zdawały się układać korzystnie dla Saint-Régeant'a. Carbon powrócił po wybuchu najspokojniej w świecie do swego klasztoru, Limollanowi zaś nie pozostało nic lepszego, jak znaleźć się jak najdalej od stolicy: nim minęła godzina, był już hen za jej rogatkami. Ruszył śpiesznie do Bretanii, by zdać Jerzemu sprawę z całego zajścia. Uważał Saint-Régeant'a za poległego i nie troszczył się już jego losem. Zazarty bojowiec, oswojony z rzeziemi szuanów, nie wiele ważył życie lub śmierć jednostki. W drodze doszła go wiadomość o ocaleniu Bonapartego. Jasno, niezachwianie ocenił sytuację. Dla niego jedynym było: zacząć na nowo całą robotę. Tam w stolicy mroki kompletnej niewiadomości ogarnęły zarówno okoliczności, wśród których dokonano zamachu, jak i jego sprawców. Z wózka ostały jeno niekształtne gruzy. Beczka, strzelba, lont, poszły w perzynę. Odnalazły się jeno przednie nogi małego siwka. Agenci Dubois przetrzęśli całą dzielnicę, lecz na próżno. Policja Fouchégo nie brała się do dzieła w oczekiwaniu rozkazów. Jedyną nadzieją odnalezienia zagubionych śladów widziano w pilnej obserwacji pewnego domu przy ulicy St. Dragon. Lecz Soufflard i Clément nie ustępowali z pod Rudego Lwa. I tu wreszcie błysło światło, które miało rozjaśnić mroki. Pewien inspektor wspominał w rozmowie z Soufflard'em, iż koń, zaprzężony do wózka z machiną piekielną, był białej maści. Na te słowa olbrzym stuknął się w czoło ruchem, zdolnym ogłuszyć wołu. Rzucił mocne przekleństwo i pokraśniał niezgorzej czapki jakobińskiej.

— A to kanalie! Wiem już, kto to! Wystrychnęli nas!

Nie chciał rozwodzić się nad szczegółami, lecz zdał posterunek Clément'owi, a sam pędem pobiegł do sekretarza Fouchégo. Było to o dziesiątej rano. Bonaparte przysłał już Rapp'a po winy. Fouché zmuszony był przyznać, iż o niczem nowem nie wie. Adjutant przyjął tę wiadomość ironicznie, traktując go tak z góry, iż Fouché nie mógł sobie wróżyć nic lepszego, jak nielaskę pierwszego konsula. Rapp wezwał na odchodem ministra do Bonapartego na drugą po południu, nim się zbierze Rada Stanu. Fouché odpowiedział chłodno i twardo, jak gdyby tu nie wchodziło w grę jego powodzenie, a może i życie, iż stawia się punktualnie. Nie wiedział absolutnie, od czego ma zacząć i spuścił się na los trafu: na to wprowadził Villiers olbrzymiego Soufflarda.

— Obywatelu ministrze, człowiek przyniósł ważną poszlakę. Może to początek nitki, która nas doprowadzi do kłębka. Wózek roztrzaskany na rogu ulicy du Chartres, miał siwego konia i dźwigał prawdopodobnie jedną lub kilka beczek. Otóż tedy wczoraj około szóstej zaszło trzech ludzi pod Rudego Lwa, do oberży już oddawna podejrzaney, jako punkt zborny rojalistów; oni to naładowali dwie łeczki na wózek o siwej szkapie.

— Jedna z tych beczek, ciągnął Soufflard, zawierała wino. Piliśmy je, pomógłszy przedtem wciągnąć beczki na wóz...

— Tak? — To wy im pomagaliście. Mówiliście tedy z nimi? Jakżeż oni wyglądali?

— Wyglądali na robotników. Nic i ruchach szczególnego nie było... J...

— Było to tedy wino?

— Ze było w jednej...

— A w drugiej...

— Co...

— Mogę wiedzieć...

— Villiers...